

# Rodzina chrześcijańska

Pisemko poświęcone sprawom religijnym, nauce i zabawie.

Wychodzi raz na tydzień w Niedzielę.

Bezpłatny dodatek do „Górnoślązaka“ i „Straży nad Odrą“.

Na Niedzielę trzecią po Wielkiejnocy.

## Ewangelia u Jana świętego

w Rozdziale XVI.

Onego czasu: Mówił Jezus Uczniom swoim: »Maluczko, a już mię nie ujrzycie: i zasię maluczko, a ujrzycie mię: gdyż idę do Ojca.« Mówili tedy Uczniowie jeden do drugiego: »Co to jest, co mówi: »Maluczko, a nie ujrzycie mię, i zasię maluczko, a ujrzycie mię, gdyż idę do Ojca.« Mówili tedy: »Co to jest, co mówi: »Maluczko«; nie wiemy, co powiada. A poznał Jezus, że go pytać chcieli i rzekł im: »Oto się pytacie między sobą, iżem rzekł: »Maluczko a nie ujrzycie mię, i zasię maluczko, a ujrzycie mię.« Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam, iż będziecie płakać i lamentować wy, a świat się będzie weselił, a wy się smucić będziecie, ale smutek wasz w radość się obróci. Niewiasta, gdy rodzi, smutek ma, iż przyszła jej godzina: lecz gdy porodzi dzieciątko, już nie pamięta uciśnienia dla radości, iż się człowiek na świat narodził. I wy tedy teraz smutek macie, lecz znów oglądać was będę, a będzie się radowało serce wasze: a radości waszej nikt wam nie odejmie.«

### Nauka z tej Ewangelii.

Gdy patriarcha Jakób czuł zbliżającą się śmierć, zgromadził około siebie wszystkich synów i pożegnał się z nimi uroczystie. Synowie Jakóba zasmucili się, nieznadługo oblicza kochanego ojca oglądać nie mogli. Umierający patriarcha pocieszał ich, każdemu osobna błogosławiąc i przepowiadając im, iż ich Bóg z obcej im ziemi egipskiej wyprowadzi i da im w dziedzictwo ziemię Kanaan mlekiem i miodem płynącą, którą Abrahamowi i potomkom jego podzielił. Tak też i Zbawiciel przed śmiercią swoją żegnał się z uczniami swymi. dłuższą chwilę mając mowę, z której ewangelie św. na niedzielę po Wielkiejnocy od 3—6 przeznaczone, są wyjęte. Że odejdzie od nich, wyraźnie im to mówi: »Maluczko a już mnie nie ujrzycie, iż idę do Ojca.« Słowa ukochanego Mistrza napęłniły wielkim smutkiem apostołów. Nie mogli się pogodzić tą myślą, że Jezus ich opuści, że się z nimi rozłączy wkrótce. »Przerażeni i boleścią zdjęci spuścili się ku ziemi, jak powiada św. Tomasz, i nie mogli

na siebie spojrzeć z bólu i dla łez, które zalały ich oczy.« I jakżesz nie miała boleść ścisnąć ich serca i smutek wyryc się na ich obliczu, gdy usłyszeli, że ich opuści ten, dla którego oni wszystko opuścili? To też tak byli przerażeni, że, jak powiada św. Chryzostom, ani na Zbawiciela spojrzeć, ani Go pytać bliżej nie ośmielili się. Do tego odnoszą się one słowa: »A teraz idę do tego, który mię posłał, a żaden z was nie pyta mnie dokąd idziesz? Ale iżem to wam powiedział, smutek napęłnił serca wasze.« (Jan 16, 5, 6.)

Lecz Pan Jezus zraniwszy serca uczniów swoich, ma zaraz balsam w pogotowiu, aby je zleczyć. Bez pociechy ich nie zostawia, a pociesza ich w trojaki sposób: najprzód wykazuje pożytek, jaki dla nich wyniknie z Jego odejścia do Ojca. »Aleć ja prawdę wam powiadam: pożyteczno wam abym odszedł; bo jeżeli nie odejdę pocieszyciel nie przyjdzie do was« (Jan 16, 7). Powtórę powiada im, że ich samych nie zostawi. »Nie zostawię was sierotami, lecz dam wam innego pocieszyciela«. Po trzecie zapowiada im, że nieobecność Jego nie długo trwać będzie. »I zasię maluczko, a ujrzycie mię.« Przedtem już był im powiedział: »Idę gotować wam miejsce, a jeśli odejdę i zgotuję wam miejsce, przyjdę zasię i wezmę was do mnie samego, iżbyście, gdzie ja jest i wy byli« (Jan 14, 2, 3). Któryż umierający ojciec tak pocieszać może zasmucone dzieci swoje? Któż bliżkim będąc śmierci mógłby mówić swoim! maluczko a ujrzycie mię? Chrystus sam tylko mógł mówić wobec śmierci o krótkiej chwili, w której Go uczniowie widzieć nie będą. Gdyż tej samej nocy, której się z apostołami żegnał, przez żydów pojmany został, rano ukrzyżowany, wieczorem pogrzebany i tak znikł z oczu ludzkich. Ale już dnia trzeciego ukazał się żywy wpośród ukochanych uczniów, którzy »się cieszyli, gdy Pana ujrzeli.«

Apostołowie, gdy im Zbawiciel mówił o blizkiej swej śmierci, tak byli przygnieceni ciężarem smutku, że nie rozumieli tego, co mówił i wzajemnie pytali siebie mówiąc jeden do drugiego: co to jest co nam mówi: maluczko?« »Co im w onczas,« mówi św. Augustyn, »zakrytem było, wkrótce jednakże odkrytem, to nam jest zupełnie jasnym, bo wkrótce potem cierpiał i nie widzieli Go. W krótkim czasie zmarłych wstał i widzieli Go znowu. Powiedział zaś: i nie ujrzycie mnie, ponieważ Chrystusa już więcej śmiertelnym nie widzieli.« Te słowa Jezusa »maluczko« mogą się odnosić także do doczesnego życia ludzkiego na tej ziemi. Czemże są te nie wiele lat na ziemi w porównaniu z oną długą, nigdy niekończącą się wiecznością? »Cóż jest żywot wasz?« pyta

św. Jakób apostoł, »*para jest okazująca się na mały czas, a potem zniszczona będzie*« (Jak. 4, 15). I dla tego mówi Job sprawiedliwy do Boga: »*krótkie są dni człowiecze, liczba miesięcy jego u ciebie jest*« (Job 14, 5), a psalmista Pański woła: »*rzekłem językiem moim oznajmij mi Panie koniec mój i liczbę dni moich która jest, abym wiedział, czego mi niedostaje. Otoś pomierne uczynił dni moje, a bytność moja jako nic przed tobą. Zaiste w obrazie przechodzi człowiek, ale próżno trwoży sobą. Nie milcz! bom ja jest przychodzień u ciebie i podróźny, jako wszyscy ojcowie moi*« (ps. 38, 5—13).

Jeżeli więc to ziemskie życie w porównaniu z nieskończoną wiecznością jest tylko małą chwilką, jak Pan Jezus powiada »*maluczko*«, jeśli jest tylko przejściem, krótką tylko pielgrzymką, toć bardzo nierozsądnem jest, serce swoje do znikomych dóbr i radości świata przywiązywać, a o przyszłe życie się nie starać. Dla tego powiada Piotr św. w swym liście (I. 2, 11): »*najmilejsi, proszę was jako przechodniów i gościów, abyście się wstrzymywali od pożądlivosti cielesnych, które walczą przeciwko duszy*«. Innemi słowy powiada apostoł, ponieważ ta ziemia nie przeznaczona wam na stały pobyt, ale jako obci przechodzicie tylko przez pustynię tego krótkiego życia ziemskiego, tedy nie obciążajcie serca wasze pożądlivościami ciała, które wam będą przeszkadzały w rychłem osiągnięciu celu pielgrzymki waszej. Ponieważ to życie tak krótkie, toć jasną, że trzeba korzystać z każdej godziny tego życia i starannie je na dobre uczynki używać. Dlatego mówi dalej apostoł św. »*mając obcowanie dobre między pogany, aby w tym, w czym was pomawiają jako złoczyńce z dobrych uczynków przypatrywszy się wam chwalili Boga w dzień nawiedzenia*«. Potem przytacza apostoł, na czem to te dobre uczynki polegają: na bojaźni Bożej, na poddaniu się zwierzchności przez Boga ustanowionej, na miłości braci, na posłuszeństwie przełożonym. »*Bo tak jest wola Boża, abyście dobrze czyniąc usta zatkali niemądrych ludzi głupstwu*«.

Z tem sumienniem używaniem życia doczesnego jest połączony nieraz smutek i płacz. »*Płakać i narzekać będziecie a świat się będzie weselił*« Dwa są królestwa na ziemi: królestwo Chrystusa i królestwo Antychrysta, te dwa królestwa walczą ze sobą. Przyjaciela królestwa Chrystusowego smućą się najprzód dla tego, że tak długo nie oglądają Zbawiciela swego twarzą w twarz w niebie, z Dawidem zawodząc (ps. 119, 5, 6): »*Ach mnie, że się mieszkanie moje przedłużyło, długo przebywała dusza moja*«. Zasmuca ich niedoskonałość i słabość własna, która im nie pozwala hyżym lotem wznieść się z nizin zmysłowości i zrównać z Chrystusem. Smućą ich codzienne ich grzechy i upadki, do których ich prowadzi lenistwo, opieszałość, brak czujności, a które im tem więcej ciążyą, im więcej Jezusa miłują. Smućą się wreszcie na widok niezliczonych występków i zbrodni, których się dopuszczają niewierni i bezbożni.

A gdy uczniowie Chrystusowi smućą się, to dzieci świata się weselą. Bo ustawicznie powtarza się to samo, co się działo na puszczy, gdy Mojżesz wśród postu i modlitwy rozmawiał z Bogiem. Około złotego cielca bogactwa i rozkoszy tańczy zmysłowy od Boga odpadły świat, jak powiada Paweł św., pisząc do Korynt. (I. 10, 7): »*Siadł lud jeść i pić i wstali ignać*«. Do kogóż się przyłączysz? czy do smućących się uczeni Chrystusowych, czy też do śmiejących się dzieci świata? Mam nadzieję, że stanowczo przyłączysz się do uczeni Chrystusowych, o których Zbawiciel powiedział: »*błogosławieni, któ-*

*rzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni*«. Nie zaźdrość świata krótkiej i niezupełnej radości, po krótkim śmiechu czeka go wieczny płacz, po radości bez końca wyrzekanie. Kto z Chrystusem i uczniami Jego wytrwa w świętym smutku, a serce swoje często ku niebu podnosi »*szukając, co w górze jest*«, na tym się spełni to, co Zbawiciel obiecał zasmuconym uczniom swoim: »*teraz wprowadzie macie smutek, lecz zasię oglądam was, a będzie się radowało serce wasze, a radości waszej żaden od was nie odejmie*« (Jan 14, 22). Amen.



## Matka Boska Pocieszenia.

Powieść historyczna z XVI-go wieku.

(Ciąg dalszy.)

Nie upłynął jeszcze rok od śmierci Sirtori'ego, gdy żona jego, jeszcze w grubej żałobie, udając się przez las do dóbr swoich, około kaplicy napadniętą została przez bandę rabusiów, którzy pozabijawszy towarzyszącą jej służbę, uprawdzili ją z sobą i odtąd nikt o niej żadnej nie mógł powziąć wiadomości. Jeden ze sług, zabrawszy ze sobą kilkoletniego podówcza syna jej Aleksandra, zdołał uciec i ocalić mu życie.

Próżnemi okazały się wszelkie poszukiwania rodziny, ani wdowy, ani jej ciała, nigdzie znaleźć nie było można.

Wójttem w Barzago był podówcza zacny i rozumny bardzo człowiek, zaczął on energicznie poszukiwać zbrodniarzy, a gdy już wpadł na niezawodne ślady i miał już rzecz całą wyprowadzić na światło dzienne, schwytyany przez ludzi Don Alfonsa, został zbity i styranizowany prawie na śmierć; zapowiedziano mu, że gdyby raz jeszcze wdał się w tę sprawę, żywym nie wyjdzie. Tak więc sprawa ta upadła, bo nikt inny jej podjąć nie śmiał.

Aleksander Sirtori mógł mieć wtedy mniej więcej lat dziewięć — przestraszony podczas napadu, zachował o tem wszystkiem bardzo słabą pamięć. Wreszcie krewni jego pragnąc osłonić go przed groźnym niebezpieczeństwem, wywieźli go do Padwy i oddali na wychowanie w klasztorze, gdzie jeden z jego dalekich krewnych był przeorem.

Poduczony się, uczęszczał następnie do sławnego podówcza uniwersytetu w Padwie. Tutaj nauczył się po grecku i po łacinie, układał wiersze a wśród nauki stracił prawie zupełnie z pamięci smutny wypadek, jaki uczynił go sierotą i nienawisć rodową do Isacchi'ch. Z natury łagodny i szlachetny, wyrobił w sobie poczucie dla cierpiących, chęć niesienia tymże pomocy i bronienia uciśnionych.

Zaledwie skończył lat dwadzieścia, gdy opiekunowie jego, zawezwali go do siebie, a wynalazłszy pannę wysokiego rodu a przytem bardzo bogatą, przeznaczili mu ją na żonę. Wybor padł bardzo szczęśliwie, panna była młodzietka i śliczna, zaledwie wróciła z klasztoru do domu rodziców, gdy jej przedstawiono don Aleksandra; młodzi ludzie podobili się sobie na wzajem i wkrótce zawarli z sobą ślub małżeńskie.

W miesiąc później młoda para pojawiła się w wsi, w zamku Sirtorich, gdzie Aleksander spędził pierwsze swe dziecinne lata. Tu dopiero smutne wspomnienia odezwały się w duszy młodego człowieka, przypomniał on sobie ukochaną matkę, któ-

otaczała go taką miłością i macierzyńską pieśczęcią. Dlatego też tajemnicze zniknięcie jej stało mu ciągle na myśli.

Zaprzagnął odwiedzić miejsce katastrofy, zebrać na miejscu jakieś wiadomości, a może odnaleźć grób zabitej — pomodlić się za jej duszę.

Pewnego wieczora nadleśny Niedźwiedzia z Barzago, Antonio, zjawił się u swego pana z oznajmieniem, że młody Aleksander Sirtori z licznym orszakiem swoich dworzan wybiera się niewiadomo w jakim celu do kaplicy Matki Boskiej Łaskawej.

Antonio był rodem z Brescii, z kąd zbiegł przed wyrokiem śmierci, za kilka spełnionych morderstw. Słusznego wzrostu, silny i muskularny, twarzy brzydkiej i ponurej, pozostawał w służbie don Alfonsa od lat bardzo dawnych, służąc mu według okoliczności, za strzelca, leśniczego, śpiegą, zbója, pomocnika do każdej najnikczemniejszej zbrodni.

Don Alfons, usłyszawszy od swego powiernika, że Sirtori nazajutrz ma stanąć na jego terytorium, zerwał się na równe nogi i maszerując wielkimi krokami po pokoju z dzikim na twarzy wyrazem przystanął przed wiernym sługą i rzekł:

— Jutro do dnia polowanie, zbierz twoich ludzi, bądźcie w pogotowiu.

Antoni skłonił się i wyszedł.

Isacchi pozostał sam, był silnie wzruszony, chwili jednej nie mógł wytrzymać na miejscu, maszerował wielkimi krokami po pokoju, chwycił w ręce broń rozmaita, uśmiechnął się dziko, wyszedł na taras i znów wrócił do pokoju — namyślał się, snuł plany zbrodnicze.

To jutro przedstawiało mu się teraz jako najszczęśliwszy dzień w życiu — nakoniec, po tylu latach oczekiwania, bo sam oddawał mu w ręce jedyną jeszcze pozostałą latorośl nienawistnego rodu. Wydał rozkazy służbie, aby się jeszcze przed wschodem słońca gotowano na polowanie z całym przepychem.

Następnie zamknąwszy drzwi na klucz od swego pokoju, poruszył ukrytą w ścianie po za łóżkiem sprężynę; ukazały się małe drzwiczki, otworzył je kluczem, który nosił zawieszony na szyi; postąpił parę kroków w ciemności, rzucił bochenek razowego chleba, który stoczył się w głąb z łoskotem po schodach.

— Na masz nikczemnico! Dziś dam ci tu towarzysza!

Zatrzasnął drzwi, wyjął klucz, zawiesił go znów na łańcuszku na szyi, wrócił do pokoju, poruszył sprężynę i wszystko urządził jak było przedtem — następnie ukląkł na stojącym u wezłowia kłęczniku, podniósł czarną aksamitną zasłonę, z pod której ukazał się bogaty relikwiarz, a w nim poółkła czaszka pradziada; patrząc na nią wzrokiem zamyślonym wyjął z zanadru złoty medalik z wizerunkiem Matki Boskiej, przycisnął go do ust i zaczął mówić:

— Najświętsza Panno, opiekunko moja! Jeśli wysłuchasz dziś modłów biednego grzesznika, jeśli pobłogosławisz dzisiejszym moim zamiarom, pozwolisz, by się udała dzisiejsza oblawa, wystawię Ci kościół wspaniały, sam porzucę życie, jakie prowadzę i cały oddam się na Twoje usługi.

— Wstał, zasłonił firankę, zawiesił kluczyk obok medaliku i ukrył go w zanadru. Pełen nadziei, uśmiechnął się do swoich myśli zbrodniczych i począł się ubierać bardzo starannie; włożył koszulkę stalową, arcydzieło jakiegoś słynnego zbrojownika, cienką i giętką jak z jedwabiu, a jednak tak hartowaną, że najostrejszy sztylet zsunął się po niej nie-

szkodliwie, pokrył ją pięknym aksamitnym ubraniem, zatknął za pas ostry sztylet damasceński, na głowę włożył czapkę, na rękę posadził ulubionego sokola i lekko skoczył na pięknego dzianeta, który niecierpliwie oczekiwał pana przed gankiem; zatrąbił i cały orszak myśliwych ruszył w stronę lasu.

Droga prowadziła koło probostwa — ksiądz oparłszy się o sztachety swego ogrodu, rozmawiał właśnie z sąsiadem swoim, soltysem, który na wpół odziany, z rydlem w rękę, przerwał pracę dla pogadanki. Człowiek to był prawy, gotowy z narażeniem życia dochodzić krzywdy uciśnionych.

Nie lubił go don Alfonso, a nawet mówiono, że po strasznym wypadku, jaki spotkał wdowę po Sirtorim, gdyż soltys zbyt gorliwie śledzić zaczął popełnioną zbrodnię. Don Alfonso kazał napaść na niego swoim ludziom, którzy zbili go okrutnie; a zostawując nawpół nieżywego przestrzegali, aby się w tę sprawę nie wdawał, bo nic prócz własnej śmierci nie wysledzi.

Don Amando, miejscowy proboszcz, żył w znanych stosunkach z don Alfonsem; bywał w zamku Barzago, gdzie był przyjmowany uprzejmie, na kościół często znaczne otrzymywał pieniądze.

Soltys, wiecznie na możnego pana rozgniewany, a którego sprawiedliwość, choć liczne popełniał zbrodnie, osiągnąć nie mogła, ranka tego znów zaczął wyliczać przed proboszczem jakieś bezprawia don Alfonsa.

Proboszcz zamyślił się głęboko, poczem odpowiedział:

— Czy też ty nigdy nie nabędziesz rozsądku? Na co ci się przyda to narzekanie? Pan zawsze robi swoje, a taki chudy pacholek jak ty, nic na to nie poradzi. Don Alfons ma swoje wybryki, ale to pan pobożny i szlachetny.

— Ale moja licha sukmana jest czysta i plam ludzkiej krwi nie ma na niej — odparł soltys — a jego aksamity i brokatele na wskroś zbrodnią przesiąknięte.

— Cicho, cicho, — przerwał mu ksiądz — czy nie słyszysz? Zdaje mi się, że jadą z zamku na polowanie.

Za chwilę ukazał się świetny orszak myśliwych.

— Dzień dobry, kanoniku; może zechcesz się do nas przyłączyć, zapolujemy na grubego zwierza! — odezwał się don Alfons.

— Wolne żarty, dostojny panie, moja tusza od dawna nie dozwala mi używać tych przyjemności.

— A więc do widzenia, bo spieszę do lasu, ale nie zapominaj, kanoniku, że przy moim stole zawsze jest miejsce dla ciebie zachowane i nakrycie gotowe.

Uklonił się z lekka i ruszył dalej, zanim ksiądz zakończył podziękowanie swoje kwiecistym a ciemnym stylem, w tym wieku tak wiele mającym wziętość w wysokich sferach włoskiego towarzystwa.

Don Alfons tymczasem zwrócił się w stronę, skąd miał przybyć don Aleksander ze swą swiątą; jak gdyby przypadek go tam sprowadził.

Wkrótce nadjechali państwo Sirtori, otoczeni zbrojnym wiernym sług orszakiem.

Don Alfons podjechał i z uprzejmym ukłonem zbliżywszy się do młodej pary rzekł:

— Jakież to traf szczęśliwy sprowadza na moje terytorium tak miłych gości? Mam nadzieję, że nie zechcecie mnie zasmucić i przyjmiecie gościnę w zamku moim, choćby tylko na dzień jeden. Wszelkich starań dołożę, aby jak najgodniej przyjąć tak dostojną parę.

— Przebacz nam, panie i pozwól, że innym razem skorzystamy z miłego zaproszenia, ale dziś przed wieczorem do domu wrócić musimy.

— Rozumiem — rzekł z uśmiechem don Alfons, — takim młodym ptaszkom pilno wracać do swego gniazda. A więc nie nalegam, żebyście u mnie nocowali, ale spodziewam się, że nie odmówicie mi przyjemności kilkugodzinnego zapolowania razem, — moja straż leśna wysłuchiła odyńca, każe go ruszyć i razem na niego natrzemy.

Zaproszenie wydało się młodemu Sirtoriemu tak szczerze, tak serdeczne i naturalne, że nie czuł się na siłach odmówić, tem więcej, że na skinienie don Alfonsa natychmiast podano im sokoły i zaopatrzone w kompletny myśliwski rynstunek, używany w owych czasach.

Tak tedy jechali, polując i rozmawiając aż do chwili, gdyśmy ich zostawili, opuszczając biedną gospodę Cypryana.

Don Alfons zmierzył badawczym wzrokiem orszak Sirtorich, a pochylając się do ucha Franciszka, rzekł:

— Tych spojć na śmierć do ciebie należy.

Służalec skłonił się na znak, że rozkaz zrozumiął dobrze. Młoda para tymczasem zatrzymała się około kapliczki.

— Patrz, Emilio, oto jest miejsce strasznego wypadku, czy wierzysz, że w tej chwili cały obraz tego nieszczęścia staje mi przed oczyma. Tu obok kaplicy zatrzymała się lektyka matki mojej; burza była straszna, deszcz lał jak z wiadra, bałem się piorunów i błyskawicy, tuliłem się do matki, a ta mnie całowała, pieściła i uspakajała; powstał krzyk pomiędzy ludźmi naszymi, kilku zbójców z zasłoniętymi twarzami wpadło, mordując ich; krzyki, jęki dołączyli mi jeszcze w uszach, w jednej chwili rozłączono mnie z matką. Ach! Boże, mój Boże! co się z nią stało? Ona taka dobra, taka cnotliwa, mógłże znaleźć się jaki zbrodniarz, co pozbawił ją życia!

I łzy rzęsiste popłynęły z oczu młodego człowieka; żona też nie mogła wstrzymać się od płaczu i stali oboje zarówno smutni i wzruszeni.

Don Alfons pragnąc coprędzej zakończyć tę scenę, która wcale nie przypadła mu do smaku, zawołał:

— Kto słyszał poruszać tak smutne wspomnienia; dajmy pokój żalom, łzy i westchnienia nie wskrzeszą umarłych.

I podniósł do ust swój róg myśliwski, zatrał przeciagle, kazał powypuszczać, spał konia ostrogami i polowanie rozpoczęło się na nowo. Od rana wszystko było ułożone pomiędzy donAlfonsem i nadleśniczym; ten ostatni miał zręcznie doprowadzić pod pretekstem dzika Aleksandra do miejsca, gdzie trzech wytwornych zbójców czekało ukrytych wśród zarośli; ci mieli pochwyć młodego człowieka i żywego lub zabitego dostawić do zamku, gdzie sutą obiecano im nagrodę za spełnioną zbrodnię. Głównem zadaniem Don Alfonsa było, odłączyć Sirtoriego od jego eskorty, co okazało się trudniejszym, niż się spodziewał, ludzie ci niedowierzająco patrzyli na niego, a pana swego nie odstępowali ani na krok. Don Alfons liczył już tylko na zręczność Franciszka, że spoj ich przy śniadaniu, a wtedy wszystko pójdzie jak z płatka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Nieco o kulturze japońskiej.

Zdaje się ludziom, należącym do naszego typu cywilizacyjnego, że właściwie po za kulturą europejsko-aryjską każda inna kultura na świecie jest powołana, by służyć interesom kupieckim i politycznym arjo-europejczyków.

Wniosek ten opiera się na doświadczeniu dotychczasowym, które uczyło, że każdy lud, czy to czerwonoskóry amerykański, czy Herero, Zulus lub Matabele afrykański, czy nawet Malaj lub Indyjczyk nie mógł się oprzeć przewadze organizacyjnej i tej sile, płynącej z karabinów szybkostrzelnych, dział, pancerników i torpedowców.

Pół miliona Anglików trzyma w Indyach Wschodnich w ryzach 500 milionów tubylczej ludności, to jest jeden Anglik-władca wystarcza na tysiąc mieszkańców Indyi wschodniej.

Sześć tysięcy Anglików prowadzi na pasku Egiptu z sześcioma milionami mieszkańców.

Reguła zdawała się być bez wyjątku, aż tu naraz pojawił się wyjątek.

Wyjątkiem tym jest naród japoński.

Do 19 stulecia, japończycy żyli dla siebie zupełnie. Europejczyk, który postawił na ośmiu wyspach nogę, ginął. Tymczasem admirał amerykański Fillmore zmusił za pomocą okrętów wojennych do otwarcia portów, a kiedy kilkanaście lat potem nawiści ku obcym buchnęła jasnym płomieniem i zabrała wiele ofiar z pośród zamieszkałych w Japonii Europejczyków, jako kara przyszło straszliwe bombardowanie miast wybrzeżnych.

Japończycy, jak powiada Teodor Herzl w swoim, wcale z japończykami nie sympatującym artykule, powiedzieli sobie tak: »Albo trzeba z cudzoziemcami dobrze się obchodzić, albo nauczyć się także bombardowania.«

Odtąd Japonia poczęła się uczyć od Europy organizacji i rozmaitych nauk europejskich, na których polega przecież sztuka bombardowania.

Uczyli się zaś biorąc od rozmaitych ludów to, co uważali dla siebie za najlepsze.

Armie wzorowali na Francji, potem na Niemczech, marynarkę wzięli z Anglii, szkoły z Ameryki, prawodawstwo karne z kodeksu napoleońskiego a cywilny kodeks mają niemiecki.

Jednocześnie nie ginęło ani na chwilę stare przywiązanie do swoistej kultury wysokiej, choć zupełnie odrębnej od europejskiej.

Wiadomo, że każdy w Japonii czytać i pisać umie, że cały naród jest w zawodowe związki zorganizowany, że wytwórczość artystyczno-rzemieślnicza stoi na ogromnej wysokości.

Każdy Japończyk jest artystą-rzemieślnikiem. Każdy posiada ową niesłychaną zmyślność rąk i poczucia artystycznego, które sprawia, że potrafi wszystko zrobić z ogromną dokładnością, poczynawszy od wazy artystycznej, do precyzyjnie pękającej bomby melinitowej.

Powiadają, że wystarczy Japończykowi raz widzieć jakąś zrobioną rzecz, by uczynić ją jeszcze lepszą i tańszą.

Ponieważ maszyna nawet pierwotnego rodzaju do niedawna była mało znaną, przeto ta niesłychana sprawność palców i rąk i wyobraźni twórczej, uczyniła z nich w swoim rodzaju wyjątkowy naród.

Wystarczy wzięść do ręki wazy japońskie, bronz, w którym ruch zwierzęcia pochwycony jest po prostu i z doskonałością niesłychaną, obraz, gdzie najpierwotniejszy ton barwny, pierwoci na formy i linii

zostały wzięte z przyrody i tchnięte świeżemi lek-  
kiemi barwami na papierze przepysznej roboty, aby  
dojrzeć sprawność ręki i ścisłość wiekami wyszkole-  
nej artystycznej wyobraźni.

A potem ta kultura harmonijnej linii, rysowanej  
pewną ręką, która wie w najdrobniejszych szczegó-  
łach gdzie idzie i po co idzie.

W roczniku angielskiego pisma «The Studio»,  
z r. 1897, był artykuł z mnóstwem fotografii, oma-  
wiający ogrodnictwo japońskie.

Była tam moc obrazków kwiatów wazonowych.  
Otóż w Japonii umieją kwiaty tak wychować, że one  
nawet łodygą, liśćmi i koroną kwiatu zakresłają tak-  
kie linie, stoją w tym do siebie stosunku liniowym  
i przestrzennym, który uważają Japończycy za naj-  
piękniejszy.

Dodać należy, że każdy kwiat ma swój wazon  
do swoich kształtów i barwy dostosowany i że znów  
wazon w stosunku do siebie ułożone są z wyrafino-  
wanym poczuciem smaku.

Czem jest sztuka ogrodnicza europejska wobec  
tak wysubtelnionych potrzeb artystycznych w odnie-  
sieniu do kwiatów wazonowych?

Każdy ogródek przy domku japońskim, małeńki  
jak Japończyk i jego mieszkanie, jest arcydziełem  
fantazyji smaku, pokoleniami długimi wyrobionego.

Jednak nie stanowi to jeszcze istoty dawnej  
kultury. Wszak i Indusi i Chinczycy mają swoiste  
artystyczne formy i wielki zmysł twórczy.

Tak, ale dawność i siła kultury mierzy się  
jeszcze czem innym, mierzy się poczuciem spoistości  
plemiennej, narodowej, ofiarności jednostek na rzecz  
ogółu, charakterem obywatelsko-rycerskim. Te wszyst-  
kie zalety mają Japończycy w wysokim stopniu. Po-  
życzka dobrowolna wojenna została naprzykład obecnie  
pokryta w czterokrotnej wysokości. Odwaga i lek-  
ceważenie życia żołnierzy japońskich, jeśli chodzi  
o dobro ojczyzny, jest znaną całemu światu.

Są to wszystkie razem cnoty, które uczyniły  
z Japończyków potęgę światową cywilizacyjną dla  
Europy.

Cała «secesya» to przecież dziecko związku  
twórczości europejskiej ze sztuką japońską.

A jeżeli Japończycy mieszkają w domkach o pa-  
pierowych ścianach, ubierają się w kimono jedwabne  
o żywym i delikatnym doborze kolorów, jedzą pa-  
łeczkami z małych miseczek, siedząc na ziemi, to  
jeszcze z tego nie wynika, ażeby żyli podle, tylko  
żyją inaczej niż my.

Nie niższą ani wyższą jest ich cywilizacja, ale  
jest inna.

Ta równorzędność w kulturze pozwoliła im z tą  
łatwością nauczyć się używać karabinów, statków  
wojennych, bomb, kartaczy, stosować zasady orga-  
nizacji naszej, o ile to było dla ich bytu narodo-  
wego potrzebne.

A że zamiast chrześcijaństwa panuje u nich  
Buddyzm i Szyntoizm, to dla tego, kto wie, jak  
mało jest jeszcze prawdziwych chrześcian w Europie  
między «chrześcianami», nie może przecież stanowić  
podstawy do wywyższania naszej kultury nad japońską.

## Od Rivierzy do Lourdes.

(Ciąg dalszy.)

Całe wybrzeże odznacza się przepyszny-  
m klimatem. Ciepłe wiatry afrykańskie złagodzone przez  
morze śródziemne mają wolny dostęp i spowodują  
iście afrykańską roślinność podczas gdy ostre zimne

wiatry północne oziębione śniegami Alpów nie mają  
przystępu do tej rajskiej krainy. Na całym wybrze-  
żu są śliczne zakłady kuracyjne, dokąd spieszą rok-  
rocznie tłumy chorych, rozumie się bogatych z całej  
Europy. Wszędzie piękne wile i śliczne osady wśród  
zieleni. Przepyszna miejscowością jest także Monako,  
stolica małego księstwa. Są tu słynne na cały  
świat jaskinie gry, gdzie arystokracja pienneżna z ca-  
łego świata próbuje szczęścia i w dzikiej namiętności  
najczęściej zgrywa się do ostatniego feniga i nie-  
stety zbyt często kończy życie samobójstwem. Ta  
jaskinia gry jest istotną plamą na jasnym tle tej  
pięknej krainy. Skandaliczne te stosunki wciąż dalej  
istnieją bo są tolerowane i wprost utrzymywane przez  
rząd księstwa, którego główną część dochodów  
stanowią podatki płacone z strony banków, a któ-  
rego mieszkańcy nie potrzebują płacić żadnych po-  
datków.



Lourdes.

Później przejeżdżaliśmy koło portu wojennego  
Toulon, gdzie «mały kapral» późniejszy cesarz Na-  
poleon I. nabrał pierwszej sławy. Również były  
widne różne wyspy i wysepki, między nimi słynna  
z owego więzienia dla przestępców politycznych  
wyspa Yf. Przypomniła mi się historia o «więźniu  
z żelazną maską», który trzymany w tem więzieniu  
zmuszony był nosić bez ustanku czarną maskę i który  
jak najstaranniej był odłączony od całego świata,  
nieszczęsna ofiara dumy królewskiej ówczesnego  
króla francuskiego Ludwika XIV.

Tak stojąc na pokładzie okrętu patrzałem  
w stronę lądu. Okręt kołysał się spokojnie po  
cichych falach pozostawiając za sobą długą linię  
oznaczoną białą pianą i ruchliwymi falami. Morze  
było spokojne a słońce toczyło się zwolna ku zacho-  
dniej stronie nieba. Lśniące dotąd białe promienie  
nabierały stopniowo czerwonego koloru, dalekie  
szczyty Alp morskich również się czerwieniły. Kraj-  
obraz stawał się cudowny, istotne wcielenie spokoju.  
Z daleka odzywały się mewy i inne ptactwo morskie.

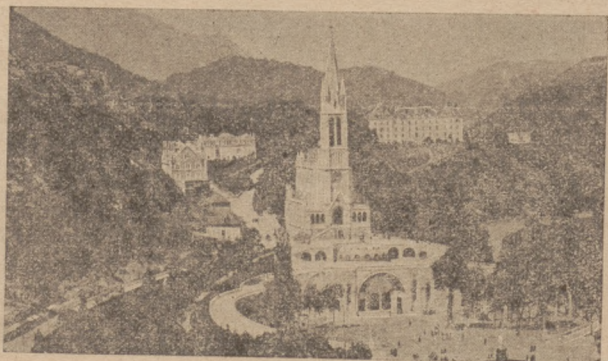
W miarę jak się zbliżał wieczór, i myśmy się  
zbliżali do naszego celu. Różne większe i mniejsze  
statki krzyżowały nam drogę, tu i owdzie widać było  
łódzie rybackie wracające do portu, który widniał na  
dalekim widnokręgu, lecz stawał się prędko wyraź-  
niejszym, aż nareszcie dolatywały nas odgłosy ruchu  
w porcie i na ulicach. Okręt stanął wśród licznych  
okrętów różnych rozmiarów i spuszczone kotwice.  
Wówczas na okręcie smorzało życie jak w ulu.  
Wszystko parło naprzód. Nie chcąc się ludzi nie-  
potrzebnie wśród olbrzymiego tłoku przystanąłem,  
aby obejrzeć sobie miasto Marsylię z mojego wyso-  
kiego stanowiska.

Obraz który mi się przedstawiał był mniejwięcej  
ten sam co w Genui, tylko brak było tego, co

nadaje Genui tyle przepysznego. Nareszcie i ja udałem się do miasta, lecz nie mając zamiaru ani czasu do dłuższego pobytu i chcąc jaknajśpieszniej udać się do miejsca przeznaczenia, odjechałem jeszcze w nocy i wkrótce szybki «train» niósł mię ku zachodowi. W tym samym przedzie było sześciu lub siedmiu Marsylijczyków, którzy jednak widocznie zmęczeni, wnet zasnęli i chrapali sobie w najlepsze.

Noc była pyszna. Z czystego nieba świeci księżyc. Mknęliśmy przez śliczną milczącą w śnie pograżoną niby zaczarowaną krainę, przez ciche wioski i miasteczka, tylko niekiedy zatrzymując się na większych stacyach.

Moich francuskich współtowarzyszy wszystkie te piękności wcale nie troszczyły. Siedzieli lub raczej leżeli w słodkim śnie pograżeni, do czego się widocznie przyczyniły i wagony bardzo wygodnie urządzone. Tym samym pociągiem jechało jeszcze



Katedra w Lourdes.

kilka osób do Lourdes, z Marsylii i okolicy, z południowych departamentów a niektórzy, których już przedtem spostrzegłem na okręcie, z Genui do Rivieri a nawet dwu Węgrów. Tylko Polaka nie widziałem żadnego, choć byłem przekonany, że w Lourdes będzie ich wielka liczba. Boć polski naród zawsze i chętnie hołdował Królowej Niebios. Jakby więc w Lourdes, dokąd śpieszą wszystkie katolickie narody, nie miałyby być Polaków, synów nieśczęśliwej Polski, dawniejszego przedmurza chrześcijaństwa.

Gdy się nareszcie moi towarzysze podróży przebudzili, zaczęli na mnie oglądać ciekawemi oczyma, i rychło widocznie poznali, że nie jestem Francuzem, bo grzecznie mnie się jeden zapytał, czy nie jestem z zagranicy. Gdy się dowiedział, że jestem Polakiem, powiedział: Ah c'est, la Pologne, toujours fidelè à la foi! (To jest Polska, która zawsze wiernie stoi przy wierze.) Cieszyło mnie to, że z różnych zalet charakteru narodu polskiego, mój Francuz wymienił właśnie ten. Lecz w dalszym toku rozmowy spostrzegłem, że Francuz, jak wogóle bardzo wielu z jego ziomków niewykształconych a nawet wykształconych nie potrafi ściśle rozróżnić między Rosją a Polską. Według ich pojęcia to język polski jest tylko narzeczem rosyjskiego, mniejwięcej tak jak gwara prowansalska odnośnie do francuzkiego a Polacy to szczerp rosyjski. Z niemałą biedą wytłomaczyłem mu, że naród polski to zupełnie odrębny naród z odrębną mową, historią i kulturą, co prawda spokrewniony z rosyjskim, lecz bynajmniej jedno i to samo. Francuz mój uważnie słuchał i przytakiwał: »Bien, c'est bien,« (dobrze, to jest dobrze), a gdy wysiadł na najbliższej stacyi, to jego twarz miała wyraz, jak gdyby był zrobił najważniejsze, całym światem wstrząsające odkrycie. (C. d. n.)

## Poradnik gospodarczy. Zasiewy wiosenne.

### Sadzenie ziemniaków.

Ziemniaki dają ogromne plony, jeżeli uprawiamy je dobrze, można mieć bowiem z morga i po 200 korcy ziemniaków przy umiędnej uprawie. Najlepiej się udają ziemniaki na roli pulchnej, sybkiej, glinkowato piaszczystej. Na rolach płytkich dają jeszcze wprawdzie plony pewniejsze niż inne okopowe rośliny, ale dobrego zbioru można się spodziewać tylko na roli głębokiej i nie podmokłej.

Odmian ziemniaków mamy wielkie mnóstwo i trzeba rozróżnić odmiany stołowe, smaczne, i odmiany, które tylko do gorzelnii i na paszę dla bydła służą, te są po ugotowaniu więcej łykowate i wodniste. Dalej są odmiany wczesne a i inne późne. Bardzo wczesne odmiany nie są nigdy tak plenne jak dobre odmiany późne.

W gospodarstwach podmiejskich, gdzie można korzystnie sprzedać na targach ziemniaki stołowe, trzeba uprawiać odmiany smaczne a szczególnie wczesne. Wymieniamy tu: różanki albo amerykańki różowe, bardzo smaczne i sybkie, średnio plenne, łatwo się jednak psują w lata mokre.

Są teraz już i polskie odmiany doskonale hodowane w Nowej Wsi pod Kętami i z tych wczesną odmianą jest Lech średnio plenny i Topaz; późniejsze odmiany dobre są Magnum bonum. Andersony, zwane przez lud zielonkami, bo mają długo nać zieloną — wreszcie Sine olbrzymy, które i na cięższych wilgotnych gruntach dobry plon dają. Jeżeli gdzieś grunt jest nie bardzo dobry do uprawy ziemniaków, to każda odmiana po kilku lub kilkunastu latach się wyrodzi i będzie dawać coraz mniejsze plony. W takim razie trzeba częściej ziemniaki kupować do sadzenia z innego miejsca; odmieniać. Szczególnie przydałoby się to w wielu gospodarstwach w górach, gdzie od wielu lat ciągle te same zawsze może ziemniaki sadzą a rola tam zwiędła, ciężka, szybko powoduje wyrodzenie. Tu trzeba wskazać na kółka rolnicze i towarzystwa, które mogą sprowadzać na próbę lepsze odmiany ziemniaków i dawać swoim członkom do rozmnożenia.

Do sadzenia wybiera się średniej wielkości ziemniaki i takich krajać nie trzeba. Sadzenie drobnych ziemniaków jest złem, bo wprawdzie większą przestrzeń można wtedy z jednego korca zasadzić, ale też nigdy z małego ziemniaczka nie urośnie plon wielki. Młoda kiełkująca roślina ziemniaka, zanim rozwinię liście i korzenie, żywi się z początku treścią posadzonej bulwy, dlatego gdy ta bulwka mała, to i pierwsze pędy wchodzących ziemniaków będą liche, cienkie, biedne i nigdy nie dadzą potem wielkich bulw. Ziemniaki bardzo wielkie trzeba pokrajać na połowę wzdłuż i tak sadzić.

Uważać trzeba, aby ziemniaki do sadzenia w kopcu nie zrosły, nie wypuściły kolec. Gdy się kiełki pooblamuje, to oczka wypuszczają wprawdzie drugie pędy, ale te nie są nigdy tak dorodne. W kopcach grubo, dobrze przykrytych a suchych nie zrosną ziemniaki łatwo, bo się ciepło z wiosną nie dostaje do nich. Jeżeli zaczynają rosnać to należy je zaraz, przynajmniej to co ma być posadzone, przenieść do jakiegoś suchego miejsca, do szopy albo stodoły i rozłożyć w niegrubej warstwie, aby przewiędnąć mogły dobrze. Przewiędniecie przez